Nr. 12 We Lwowie, 1 października 1935 Rok 57



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1-GO i 16-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

✝

WŁADYSŁAW DE SICHELBURG GARAPICH

ziemianin, major Wojsk polskich w stanie spoczynku, wieloletni członek Wydziału M. T. Ł., odznaczony złotym medalem zasługi łowieckiej przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, zmarł w dniu 12. września b. r. we Lwowie, mając lat 60.

Odszedł w lepszy świat przyjaciel wielki naszego Towarzystwa, gorliwy współpracownik „Łowca", znakomity myśliwy.

Cześć Jego Pamięci, pokój Jego duszy!

WALERY MARYAŃSKI

Kilka uwag na temat polskich ładunków śrutowych

W „Łowcu" Nr. 11 z 1 września 1935, ukazał się artykuł p. Jana Drohojowskiego p. t. „Polskie ładunki śrutowe", krzywdzący wedle mego zdania w wysokim stopniu nasz przemysł krajowy, względnie polskie wytwórnie prochu.

Wprawdzie mam przyjemność znać Sz. Autora jako jednego z naszych najlepszych myśliwych i „asów" polskiego strzelectwa — i cenię jego doświadczenie na tych obu polach bardzo wysoko — mimo to jednak nie mogę zgodzić się z treścią zwyż cytowanego artykułu i dlatego pozwalam sobie zabrać w tej sprawie głos.

Sz. Autor potępia w czambuł wszystkie polskie bezdymne prochy śrutowe i przemawia za otwarciem granicy dla importu zagranicznych patronów — staje przez to w pierwszej linji w diametralnym kontraście z rezultatami prób, przeprowadzonych w Stacji Badań Balistycznych P. W. P. w Pionkach, którą nie można o stronniczość posądzać, bo tam rezultaty każdego strzału są komisyjnie badane i do protokołu zaciągnięte.

Przeciw enuncjacjom Sz. Autora przemawiają dalej także doświadczenia na polowaniach, poczynione przez innych myśliwych.

Pierwsze pytanie, które się bezstronnemu czytelnikowi artykułu p. Jana D. nasuwa, brzmi: dlaczego akurat nasze bezdymne prochy śrutowe miałyby być gorsze od zagranicznych?

Przecież są one robione z czystej, odpowiednio flegmatyzowanej nitrocelulozy, t. j. z materjału, z którego wyrabia się „Rottweil", „Müllerite" i inne. Jest to najlepszy materjał do fabrykacji prochu, jaki dotąd znamy.

Nasze maszyny we fabrykach prochu są ostatnim wyrazem techniki prochowej — a inżynierowie, zanim ich powołano na kierujące stanowiska, byli lata całe w zagranicznych fabrykach, gdzie zbierali skrzętnie doświadczenia na wszystkich szczeblach i we wszystkich resortach fabrykacji prochów; rezultatem tej fachowości jest mało szerokiemu ogółowi znany fakt, że nasze fabryki prochu, istniejące ledwie lat kilkanaście, dostarczają bardzo dużo prochów zagranicy, wytrzymując tamże zwycięsko konkurencję z ofertami fabryk, mających za sobą prawie stuletnią praktykę. — To wszystko wystawia bardzo chlubne świadectwo naszym wytwórniom, a najlepiej świadczyć będą o naszych bezdymnych prochach śrutowych próby porównawcze, przeprowadzone przez Stację Badań Balistycznych P. W. P. w Pionkach w listopadzie 1932 i w styczniu 1933, którym oprócz krajowych, poddano wszystkie niemal znane zagraniczne prochy. Szczegółowy opis tych prób: patrz „Łowiec Polski" Nr. 8, 9 i 10 z r. 1933.

Nie chcąc Sz. Czytelnika nudzić szczegółowym opisem prób, kolumnami cyfr i t. p. — streszczę tylko krótko ich rezultaty — podając chyżość śrutów w 15 metrze (V_{15}), co jest miarodajne dla siły przebicia; a właśnie tę ostatnią kwestjonuje bardzo silnie Sz. Autor artykułu.

Lokata	Nazwa i pochodzenie prochu	V_{15} w m/sec	Uwagi
I	Sokół (Polska)	297.7	„Sokół" wykazuje najmniejsze różnice wewnątrz danej serji strzałów. „Schultze" i „Diamond" odznaczają się bardzo dużem ciśnieniem na ściany luf; pierwszy wykazuje Pmax = 900 kg/cm² drugi 828 kg/cm² podczas gdy „Sokół" wśród tych samych okoliczności ledwie 497 kg/cm².
II	Diamond (Anglja)	296,9	
III	Schultze (Anglja)	292,7	
IV	Łoś (Polska)	291,1	
V	Kuropatwa (Polska)	290,0	
VI	Rottweil (Niemcy)	287,0	
VII	Du Pont Bulk (Amer.)	285,7	
VIII	Velox (Czechosłowacja)	283,0	
IX	E. C. Nr. 3 (Anglja)	281,7	
X	Müllerite (Belgja)	280,6	
XI	Szarak (Polska)	259,4	

Tabela powyższa wystawia na ogół naszym prochom bardzo dobre świadectwo, bo widzimy proch „Sokół" na 1 miejscu; również „Łoś" i Kuropatwa", zajmują wcale poczytną lokatę; jedynie „Szarak" został zupełnie zdystansowany.

Nasze bezdymne prochy śrutowe, wyrabiane przez P. W. P. — a w szczególności „Sokół" — mają jeszcze jedną zaletę, a mianowicie odznaczają się bardzo małą wrażliwością na niskie temperatury (mróz) na co w naszym klimacie kładą myśliwi dużą — może nawet zadużą — wagę. I tak próby przy temperaturze: + 15° C wzgl. — 15° C wykazały przy użyciu „Sokoła" spadek chyżości V_{15} ledwie o 8 m/sec. — podczas gdy np. „Rottweil" miał 17,4 m/sec.

To byłoby krótkie streszczenie prób porównawczych.

Jeszcze jedna uwaga.

Przyznaję z całą bezstronnością, że był czas, w którym skarżono się na „zaciągi" (long feu, Nachbrenner) — ale przyczyna ich leżała nie w prochu, lecz w spłonkach(!) Mianowicie w okresie wojny gospodarczej z Niemcami przestaliśmy między innemi importować także spłonki „Gevelot" z Niemiec i zaspokajali nasze zapotrzebowanie spłonkami wyrabianemi przez „Pocisk". Pierwsze spłonki krajowego wyrobu — jak było do przewidzenia — miały duże braki (za słabe, za mocne, wywołują rdzewienie luf, działają nierównomiernie itp.) — ale trzeba wziąć pod uwagę, że fabrykacja spłonek jest jednym z najtrudniejszych działów pirotechniki. — Trudności te jednak pokonaliśmy już i dziś spłonki, wyrabiane przez „Pocisk" a szczególnie przez Wojsk. Zakłady Pirotechniczne są prawie tak dobre, jak niemieckie spłonki „Sinoxid", uznane słusznie obecnie za najlepsze w świecie.

Tyle na temat prób porównawczych.

A teraz doświadczenia na polowaniach!

Mogę się tu powołać na osobiste spostrzeżenia wzgl. na spostrzeżenia robione na strzałach kolegów, z którymi polowałem. Muszę zaznaczyć na wstępie, że od chwili pojawienia się na naszym rynku pierwszego krajowego bezdymnego prochu śrutowego, był nim „Sokół" — nie używam do dnia dzisiejszego żadnego innego prochu, jak krajowego i nigdy nie skonstatowałem objawów „mięk-

kiego bicia", opisanych w cytowanym artykule pana J. D. a powodujących kaleczenie zwierzyny.

Wedle moich zapisków oddałem dotąd krajowemi prochami 1986 strzałów, ubijając 1051 sztuk, a przecież broń, z której strzelam — to staruszek - dryling, wprawdzie marki „Sauer u. Sohn, Suhl" — ale na ogół broń II klasy. Służy już 33 lata! Krótkie lufy! Gdy jednak dobrze „nastawiłem" a odległość była „myśliwska" — to nie miałem powodu do skargi na „miękkie" strzały.

Pozwolę sobie zacytować, kilka uwag z mego dziennika myśliwskiego:

14 VII. 1929: „Strzały nabojami „Luxus", śrut $2\frac{1}{2}$ mm, do wron wysokociągnących; spadały jak czapki! Doskonała amunicja!

15 VII. 1929: „Strzelałem do kszyków nabojami W. Sp. M., niektóre strzały śrutem $2\frac{1}{2}$ mm fenomenalne!

29, 30 XII 1930, Polowanie w Kaczanówce.

W 18 strzelb przy — 10° C: 101 zajęcy,

w 19 strzelb przy — 14° C: 225 zajęcy i 8 kogutów.

Polskie naboje „Pocisk" i W. Sp. M. uzyskały ogólne uznanie.

22 X. 1932: „Strzelam 1 raz „Kuropatwą" zdaje się nie najgorszy proch!"

7 I. 1933: „Strzelam prochem „Kuropatwa", zające padają w ogniu".

12 I. 1933: — 12° C. Strzelam „Sokołem" i „Kuropatwą" oba bardzo dobre!"

Zeszłej zimy ubił mój syn ze śrutowego Winchestra kal. 20, starego lisa o bardzo dobrem futrze, strzelając na 35 kroków w braku innej amunicji śrutem Nr. 4 (3 mm), nabojami „Darzbór". Strzelał lisa na połeć — lis padł na miejscu, jakby w niego piorun trzasł. Przy obielaniu pokazało się, że wszystkie śruty siedziały po przeciwnej stronie pod skórą, czyli, że przeszły cały tułów zwierza prawie na wylot.

Tyle osobistych doświadczeń na polowaniach.

Stojąc w kontakcie przeważnie z myśliwymi, polującymi na drobną zwierzynę i ptactwo — miałem sposobność obserwować ich strzały śrutowe; muszę podkreślić, że żaden z moich znajomych jakoteż żaden z członków Polsk. Tow. Łow. w Złoczowie nie używa zasadniczo żadnych innych nabojów, jak krajowych. Nie słyszałem dotąd żadnej skargi na proch, przeciwnie widziałem nieraz strzały, które mi wprost imponowały.

Dlatego całkiem nie mogę zrozumieć istotnej przyczyny smutnych doświadczeń z nabojami krajowego wyrobu w Cieszacinie.

Nie śmiąc ani chwili wątpić o bezwzględnej autentyczności przytoczonych przez Sz. Autora faktów — a również będąc przekonanym, że broń, którą się posługiwał w Cieszacinie p. hr. K. musiała być niewątpliwie najwyższej klasy — usiluję napróżno rozwiązać tę balistyczną zagadkę.

Wobec faktu, że chybienie zwierza było wykluczone — pozostają tylko dwie alternatywy: albo wina leży po stronie naboi, albo strzelby. „Tertium non datur".

Pozwalam sobie więc postawić następującą propozycję: oto przed kilku miesiącami została w Rembertowie otwarta „Myśliwska Stacja Badawcza dla broni i amunicji myśliwskiej", gdzie za opłatą kilku złotych przeprowadza się fachową próbę broni i amunicji. — Ponieważ nie wątpię, że p. hr. K. jeszcze rozporządza tą resztą naboi, któremi tak fatalnie strzelał w Cieszacinie — przeto stawiam wniosek, by tak strzelbę, z której strzelał p. hr. K., jak i resztę amunicji posłać do Rembertowa do przeprowadzenia badań odnośnie do krycia, ostrości strzałów i t. p., a potem rezultat badań opublikować.

W ten sposób będzie objektywnie i ponad wszelką wątpliwość rozwiązana zagadka, krzywdząca tak poważnie polski przemysł prochowy.

Św. Hubertowi cześć!

WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

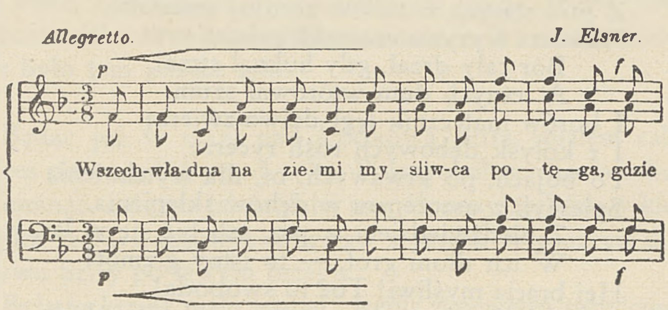
X.

PIEŚNI RÓŻNYCH AUTORÓW.

1. Elsner — Hertz — Noskowski.

Przytoczone przykłady pieśni chóralnych i aryj operowych, tak solowych, jak zbiorowych, dają rzut oka na tematy myśliwskie w muzyce, w szczególności w grupie tych utworów, których kompozytorów znamy z nazwiska. Zanim jednak przejdę do utworów bezimiennych, ludowych, przytoczę jeszcze kilka innych przykładów, zasługujących na przypomnienie czy to ze względów tematowych, czy przez wzgląd na nazwisko autora. Nie sposób n. p. nie wsomnieć tu o „Chórze myśliwych" Elsnera. Józef Ksawery Elsner to przecież chlubnie zapisany muzyk i kompozytor z zarania dziejów opery polskiej. Nauką przewyższał wszystkich współczesnych kompozytorów, nie wyłączając Kurpińskiego. Obok oper, z których największem powodzeniem cieszyły się dwie zwłaszcza: „Leszek Biały" i „Król Łokietek", zostawił słynne „Oratorjum" (Męka Zbawiciela). Nieposlednie były jego zasługi dydaktyczne i organizacyjne. Lwów we wdzięcznej zachował go pamięci za siedm lat wytrwałej pracy dla tutejszego teatru, który aż do przybycia Bogusławskiego sam prowadził[1]).

Przytaczam pierwsze takty jego „Chóru myśliwych", jakoteż słowa tej pieśni, napisane przez Marcina Ossoryę[2]).



Wszechwładna na ziemi myśliwca potęga,
Gdzie rumak nie wskoczy, nie przedrze się pies,

——————

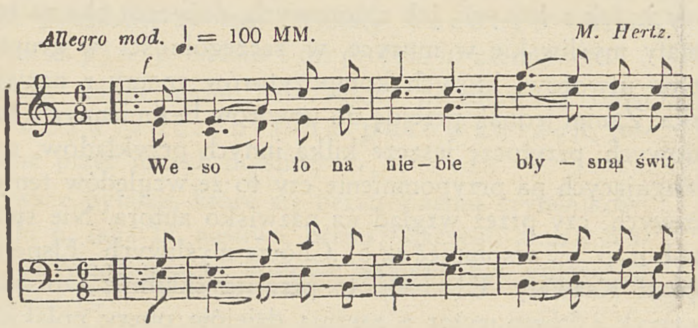
[1]) Bliższe szczegóły o Elsnerze zob. u Karasowskiego, Rys historyczny opery polskiej, str. 257—278.

[2]) Całość, ułożoną na kwartet męski zob. w wydawnictwie Piotra Maszyńskiego: „Lutnia" zeszyt III, nakł. Gebethnera i Wolffa, bez daty, str. 480—483.

Gdzie oko nie dojrzy i strzelba nie sięga,
Tam tylko władania naszego jest kres!
Gończe, charty, koń,
Wyżeł, sokół, sieć,
Oszczep, palna broń,
Śmigaj, płyń czy leć!

Dościgną cię wszędzie, a co się uchroni,
Lep, sidło, zapadnia, żelazo dogoni.
Hop, hop, hop, hop, hop,
Hop, hop, dalej ha!
Hop, hop, hop, hop, hop,
Hop, hop, dalej ha!
Bór, pola, powietrze, bagniska, głębinie,
Myśliwcom swą ludność przynoszą w daninie,

Takiż sam tytuł, t. j. „Chór myśliwych" posiada utwór poetycki Grajnerta z muzyką Hertza. Józef Grajnert, pisarz i poeta, urodzony w r. 1831, był autorem drobnych, ale licznych prac, ogłoszonych m. i. w zbiorze: „Poezje, pieśni i dumki". Warszawa 1863[3]). „Chór myśliwych" ze „Skarbca poezji polskiej" Or-Ota (1897) przedrukował w swoim czasie „Kalendarz myśliwski" wydawany przez „Łowca Polskiego"[4]). Stamtąd powtarzam tekst kompletny:



Wesoło na niebie błysnął świt biały,
Pobudkę myśliwską trąbki zagrały,
Las jeszcze okrąża wieńcem mgła sina
I rosa połyska, — będzie zwierzyna!
Nabijać broń, wsiadać na koń
I ciętą smycz puścić na dzicz!
W dalekie ostępy, w knieje głębokie,
Zatoczmy opłotem koło szerokie:
Już grają legawce, smycz w dzika trop hasa,
Ha! mamy broń w dłoni, kordelas u pasa!
Zwierz biegnie w cwał, rozległ się strzał,
A za nim w ślad: „Już nasz, już padł!"
Hej, w czasach tych przeszłych wszak to bywało,
Nad dzikiem, nad turem, echo trąb grało,
Z pod starych konarów zbrojna drużyna.
Na ostre wyzywa czarnych puszcz syna.
Bór cały drżał, gdy huknął strzał,
A leśnych dum wtórował szum.
I borów matecznik lągł dziwo-zwierzę
I z kołysk dębowych rośli rycerze,
Po bojach, po krwawych, ot, dla wytchnienia
Spieszyli z oszczepem w dębów sklepienia.
Z niedźwiedziem w pas, szli bić się w las,
W ich dłoni grot, — to istny grzmot!
Hej bracia myśliwi! Toż to swoboda!
I w żyłach, choć starych, zawsze krew młoda.
W zawody z wichrami pędzić w czahary,
Z potworem po borach brać się za bary,
I zwierza zgon otrąbić tam
I złożyć go u stóp swych dam...

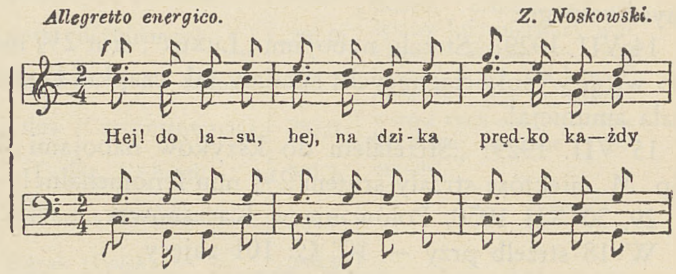
———

[3]) Bliższe szczegóły o nim zob. w Encykl. Orgelbranda, VI, 287.

[4]) Rocznik 1914, str. 97.

Michał Hertz, autor muzyki do tego wiersza ułożonej, pochodził z Warszawy, a szerszego rozgłosu nabrał jako profesor konserwatorjum w Berlinie, później dyrektor opery w Poznaniu[5]). Pierwsze takty „Chóru"[6]) są następujące:

Jak wielu innym, tak i znakomitemu naszemu muzykowi i kompozytorowi, Zygmuntowi Noskowskiemu, nie były obce tematy myśliwskie. Zawdzięczamy mu ochoczą pieśń myśliwską: „Hej na dzika!"[7]):



Hej! do lasu, hej na dzika
Prędko każdy spiesz!
Gdy na ciebie zwierz pomyka,
To go na cel bierz!

Niechaj jęknie, niechaj padnie
Wśród zielonych smug,
On chciał ciebie podejść zdradnie,
Dobrze, żeś go zmógł.

Hop, hop, la, la, la, hop!
hop, la, la, la, hop!
hop, la, la, la, la, la.

Na kraj świata, hej do chatki
Żywo każdy mknij,
Śliczne przy niej rosną kwiatki,
Więc je chłopcze rwij!

Na to bowiem ślicznie rośnie
Piękny, leśny kwiat,
By myśliwy mu o wiośnie
Pocałunki kradł.

Hop, hop i t. d.

C. d. n.

———

[5]) Enc. Orgelbranda, VII, 22, tamże portret.

[6]) Podług wydawnictwa „Lutnia" (j. w.) zesz. III, 487.

[7]) Niewiadomo mi, kto jest autorem słów. Być może, sam muzyk. Pod względem myśliwskim niezbyt szczęśliwy jest zwrot o dziku, który „chciał myśliwego podejść zdradnie...". Pieśń przytaczam z wymienionego zbioru „Lutnia" zesz. III, str. 484.



ANTONI PISULIŃSKI.

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI.
SŁOŃ AFRYKAŃSKI

Ciąg dalszy.

Gdy się jest w gąszczu, a ma się przed sobą stado słoni, trzeba, zanim się myśliwy zdecyduje strzelić do tego, lub innego osobnika, oglądnąć teren dokoła siebie, dla ewentualnego odskoku. Trafia się bowiem, że po strzale całe stado nie orjentując się skąd padł strzał, wali wprost na strzelającego, sprawiając wrażenie jakoby całe stado miało zamiar atakować. Że sytuacja myśliwego może się stać odrazu tragiczną, nie ulega wątpliwości, bo dostać się wtedy mimowoli pod nogi wystraszonych uciekinierów, bardzo łatwo.

Jako ilustracja psychiki słonia i jego niezwykłego sprytu, aby nie dać się zaskoczyć myśliwemu na terenach, gdzie nań najbardziej godzono — może posłużyć wiele fragmentów z mojej wyprawy łowieckiej w r. 1900/1.

Pozwolę sobie także przedstawić ostatnie moje spotkanie z temi gruboskórcami, w którem po ciężkich trudach, udało mi się zdobyć jeszcze jeden — piąty z rzędu — ogon słonia.

Ponieważ spotkanie to obfitowało w momenty bardzo ciekawe — nietylko dla myśliwego, ale dla każdego, któremu los slonia afrykańskiego nie jest obojętny, więc spodziewam się, że naprowadzenie tu szczegółów wtórnych, jako akcesorjów do obrazka myśliwskiego — nie będzie może zbytecznem.

Dadzą one wyobrażenie czytelnikowi, na jakie trudności natrafiał biały myśliwy w kraju, w którym broń palna wśród tubylców się rozpowszechniła, a słoń, o ile zawczasu z takich okolic nie wyemigrował, w ciągłym będąc popłochu, wędrował niezmordowanie z miejsca na miejsce. Był wprost nieuchwytny.

Tak się miały rzeczy nad rzeką Szirą w latach 1890/1. Było to zaledwie rok po ekspedycji wojskowej majora Serpa-Pinty przeciw Makololom (zamieszkującym oba brzegi Sziry środkowej), zakończonej zaciętemi walkami na terytorjum tzw. „Elephant-marshes"*), gdzie miałem zamiar jeszcze raz zapolować.

Bagna te oraz przyległy step, sławne dawniej z ogromnej ilości wszelakiego zwierza, gdzie jeszcze przed kilku laty, większe stada słoni, dla każdego, podróżującego rzeką Szirą, zwyczajnem były zjawiskiem, nagle opustoszały. Opustoszały — o ile chodziło o słonie — bo innego zwierza było tam jeszcze moc.



Słonie żerujące (rysunek Autora).

. . . .

Będąc już w maju nad środkową Szirą, miałem cały okres pory suchej przed sobą. Postanowiłem więc okolice te ominąć, a dążyć jaknajdalej na północny zachód, w kierunku rzeki Loangwy, drugiego z rzędu, większego dopływu Sziry po lewym brzegu.

Była to kraina mało znana, i wedle zapewnień tubylców, słabo zamieszkała, miałem zatem nadzieję, że tam w łowach na słonie lepiej się mi powiedzie. Kierunek drogi miał mi wskazać stary szlak słoni, który gdzieś u południowego krańca jeziora Njassa, ku zachodowi się zwracał.

Niestety daleko nie zaszedłem.

---

*) Bagna słoni.

Zaledwie bowiem znalazłem się na kraju wyżyny zamieszkałej przez Aagonich (szczep zuluski) i niespostrzeżenie chciałem się prześlizgnąć ku wyznaczonej rzece, gdy mię zaalarmowano wieścią o wojennym nastroju Aagonich, a także o wrogich dla białych, ruchach ludności, na południowych brzegach jeziora Njassa.

Czas był niepewny. Już od chwili wkroczenia Portugalczyków nad środkową Szirę, niepokój i podniecenie ogarnęły rozmaite plemiona tubylców. Największy ruch zaznaczył się u ludów, wyznających Islam, podburzonych przez arabskich handlarzy niewolnikami i kością słoniową, dla których penetracja Europejczyków w głąb czarnego lądu, była nie na rękę.

Broń palna, dotychczas nad górną Szirą rzadko spotykana, znachodziła się teraz prawie w każdej wsi. Widocznem było, że czarni gotują się do jakiejś akcji wojennej.

Tymczasem polowali na słonie. Bo za kość słoniową mogli dostać broń i amunicję, których głównymi dostawcami byli właśnie owi arabscy handlarze.

W tych warunkach każda dalsza wyprawa białego człowieka mogła się spotkać z orężnym oporem rozmaitych kacyków, ba — nawet naczelników wsi.

Z małą karawaną, bez dostatecznej asysty uzbrojonych ludzi — i to zamiejscowych — nie było bezpiecznie oddalać się zbytnio od głównego gościńca, którym była rzeka Szira. Tem niebezpieczniej było dla mnie, bowiem chwilowy mój towarzysz, Kazimierz Steblecki, musiał już po kilku tygodniach wracać do Blantyre i zabierał ze sobą kilkunastu ludzi, wchodzących w skład dotychczasowego naszego orszaku.

Karawana więc moja, zredukowana w ten sposób do liczby dwudziestukilku ludzi, była niedostateczną do wyprawy kilkumiesięcznej. Ponadto większość tych ludzi była już tak wystraszona, że spewnością drapnęłaby przy pierwszej lepszej sposobności, zostawiając mię na łaskę losu.

Aby nie być odciętym od rzeki Sziry, a tem samem od jedynego, większego skupienia Europejczyków, którem była osada Blantyre*), zdecydowałem wracać tam razem ze Stebleckim.

Tymczasem starałem się wykorzystać sposobność zapolowania w okolicy, gdzie się znalazłem, a było to już dość głęboko w górach, którędy prowadził od południa, wzdłuż Sziry, stary gościniec słoni, skąd umykające gruboskórce ku mniej zagrożonym okolicom się przedostawały.

W ciągu czterech tygodni przeglądnąłem dokładnie spory szmat tej górskiej krainy. Zapuszczałem się tylko tam, gdzie, albo wiosek nie było, a jeżeli były, to niewielkie osiedla z ludnością Mangandzów, zachowujących się jeszcze z pewną rezerwą wobec białego.

W kilku mniejszych i większych wycieczkach, które robiłem ze wspólnego z Kazimierzem obozu, założonego u podnóża gór, przemierzyłem setki kilometrów w najtrudniejszym terenie, przeważnie po tropach słoni. A znajdywałem je wszędzie.

Wdzierałem się za niemi na wysokie grzbiety górskie (gdzieniegdzie do 2.000 m n. p. m. wysokie), zapuszczałem się w głębokie jary, zarośnięte kolczastą i zbitą roślinnością, kędy tylko dzięki przejściu olbrzymich cielsk słoni, można się było przecisnąć poprzez labirynty zwalisk skalnych, spowitych najrozmaitszą zielenią, wśród niezliczonych, napół zbutwiałych pni drzewnych, gdzie ciągła panowała wilgoć, a woń roślin była wprost odurzająca.

Były tam zakamarki ciemne i ponure, dokąd promień słońca nigdy nie dochodził. Z licznych ścieżek i uliczek wydeptanych stopami gruboskórców w rozmaitych kierunkach, poznać było można, że zwierzęta te, niegdyś, chętnie tu przebywały, chroniąc się prawdopodobnie przed dręczącemi je owadami. Tego rodzaju stajnię, będącą przed laty stałem miejscem postoju słoni, odkryłem także na znacznej wysokości, u stóp odosobnionego pagórka skalnego, który formą swoją i rozmiarami mógł współzawodniczyć z piramidą Cheopsa. Tu wśród rozrzuconych dokoła olbrzymich bloków skalnych, oderwanych — przez erozję lub wietrzenie (od głównego cielska), znachodziłeś cieniste krużganki i altany, siecią powoi i innej roślinności niby dachem pokryte, jakby umyślnie przez przyrodę dla tych olbrzymów przygotowane.

W jakiej mierze słonie z tych miejsc korzystały, świadczyła ilość nawozu, nagromadzonego latami w pewnych zagłębieniach, po którym stąpało się jakby po sprężynowych materacach.

Tam gdzie przejścia między skałami były węższe, ściany ich były gładko wypolerowane, od ciągłego ocierania się o nie.

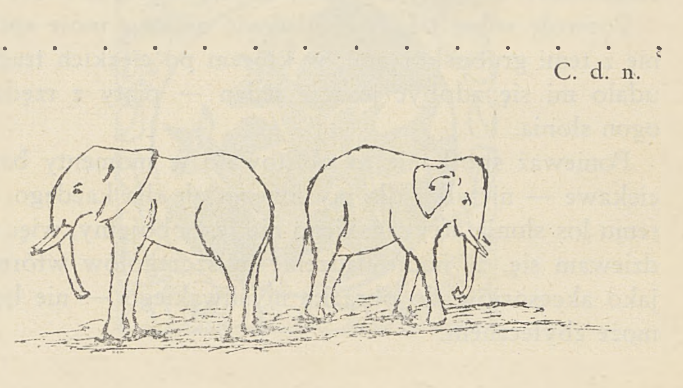
— Było to już dawno temu — opowiadał mój przewodnik, mieszkaniec tutejszych okolic — kiedy broni palnej nie znano. Miejsca te wyzyskiwali znakomicie nasi myśliwi, do łowów z oszczepem...

— Usadowiwszy się w dogodnych miejscach na owych skałach, oczekiwali cierpliwie, nieraz kilka dni nadejścia słoni. Zwierza tego było wówczas mnóstwo. Gdy wreszcie jakieś stado znalazło się w labiryncie ulic i uliczek, gdzie słoń często i obrócić się nie mógł, razili z góry oszczepami, raniąc niekiedy śmiertelnie kilka sztuk, zanim reszta stamtąd na wolne miejsce wydobyć się mogła. Oczywiście zasadzka taka udawała się jedynie przy bardzo sprzyjającym wietrze, najczęściej w razie wielkich ulew letnich, kiedy słonie w tych zacisznych miejscach lubiły się gromadzić na dłuższy postój...

Także później próbowali tutejsi tej samej sztuki przy pomocy broni palnej, ale szło już gorzej, bo huk wystrzałów tak płoszył słonie, że wnet zaczęły tych miejsc unikać...

. . . .

C. d. n.



*) Licząca wówczas trzydziestukilku białych mieszkańców.

BOLESŁAW STRZELECKI

Wypadek perforacji zatoki czołowej przez gzy u kozła

Jednym z bardzo częstych pasożytów niepokojących nasze sarny to dobrze wszystkim myśliwym znane gzy nosowe i podskórne.

Giez nosowy u sarn należy do gatunku t. zw. Cephynomyia stimulator. Dojrzały owad w czasie od maja do sierpnia stale krąży koło sarn a zapłodniona samiczka znosi na bocznych ścianach nosa swe drobne jajeczka, które wkrótce dojrzewają w delikatne larwy a te ruchem spiralnym wędrują do jam nosowych i do zatok górnoszczękowej oraz czołowej.

Larwy przyczepiają się haczykowatemi wypustkami do błon śluzowych i bez szkody dla swego żywiciela pozostają w jamach nosowych aż do końca kwietnia następnego roku, rosnąc powoli, pozostając bez ruchu. W początkach maja dojrzałe larwy opuszczają mieszkanie u swego żywiciela i wydostają się na ziemię, gdzie zagrzebują się na kilka dni, po upływie których larwa zamieniona w poczwarkę przeistacza się w dojrzałą formę owada, który zaczyna znowu ten sam sposób pasorzytowania, co i jego rodzice.

W przeważnej ilości wypadków nieznaczna liczba larw w jamie nosowej sarn nie wywołuje większych zmian chorobowych i pozostaje bez wpływu na zdrowie gospodarza, gdy jednak do jamy nosowej i do sąsiednich zatok dostanie się większa ilość pasożytów, wywołują one ciężkie zaburzenia, w postaci silnego zapalenia błon śluzowych nosa i krtani, powodują przez drażnienie silny i bolesny kaszel, chudnięcie a nawet śmierć zwierzęcia, w następstwie uduszenia.

Literatura traktująca o chorobach zwierzyny łownej a zwłaszcza podręcznik niemiecki „Wildkrankheiten" Olt-Ströse, w opisie wyż podanego schorzenia przedstawia wypadki zmian przezemnie podanych, oraz kilka wypadków padnięcia sarn spowodowanych dostaniem się larw do płuc zwierzęcia, natomiast ani w wyż cytowanym podręczniku, ani też w dostępnej mi literaturze weterynaryjnej n. p. w dziele Hutyra—Marek Patologie und Terapie der Haustiere oraz Stang—Wirt Tierheilkunde und Tierzucht nie spotkałem się z opisem perforacji zatoki czołowej przez larwy gza nosowego.

Wypadek ten stwierdzony przezemnie opiszę pokrótce.

W dniu 27 czerwca b. r. zaproszony na polowanie na kozła do rewiru Barańczyce, polując na podjazdkę, spotkałem na zrębie kozła, którego dziwne zachowanie się zwróciło moją uwagę. Kozioł, dobry szóstak, ocierał gwałtownie nasadą rogów o wystającą gałąź. Ruchy jego były bezładne, czasami podskakiwał i z pochyloną głową biegł kilka kroków, by znów przystanąć i rozpocząć rzucanie głową w dół, i ku górze, na moje zbliżanie się zupełnie nie zwracał uwagi, tak, że strzeliłem go z odległości jakich trzydziestu kroków.

Już po podniesieniu głowy dla obejrzenia parostków, zauważyłem na lewej kości czołowej ropnym wysiękiem pokryty drążący otwór w który z łatwością można było wprowadzić obsadkę ołówka.

Kozioł był dość wychudzony i słabo wyleniony. Po przywiezieniu go do dworu i po odcięciu głowy skonstatowałem, że w jamie nosowej oraz w zatokach górnoszczękowych i czołowej lewej znajduje się ogromna ilość larw gza. Larwy z zatoki czołowej nie mogąc się wydostać po uszkodzeniu błon śluzowych, wywołały dalszy proces ropienia, który doprowadził aż do zupełnej perforacji kości, przez który to otwór część larw wydostała się na zewnątrz.

Po stwierdzeniu tegoż stało się dla mnie jasnem, dlaczego kozioł wykonywał tak niesamowite ruchy i skoki, i jakie musiał przebyć cierpienia w toku całego procesu chorobowego.

Od dalszych cierpień uwolniła go moja kula. W czasie mej tyloletniej praktyki lekarsko-weterynaryjnej zetknąłem się nieraz ze zmianami wywołanemi przez gzy u owiec, u niejednego strzelonego kozła zauważyłem gzy nieliczne w jamie nosowej, lecz opisany wypadek jest pierwszy i może tak prędko ponownie zauważonym nie będzie, dlatego podaję go wiadomości P. myśliwych i hodowców.

JAROSŁAW HUBALEK
Tłum. Wł. Karnkowski

„Cygan Mykita"

I. W PUSZCZAŃSKIEJ GŁUSZY.

Wśród dzikich, niedostępnych urwisk karpackich ciągnie się tajemnicza, niewidzialna prawie, rozpadlina, otoczona dokoła gęstym lasem bukowym, obficie przeplatanym grabem, iwą, jaworem i dębem. Przed tysiącami lat dżdże i wichury naniosły tu rumowiska skalnego z sąsiednich szczytów i ubiły w zwartą masę, a czas pokrył ją bujnym lasem. Może sto, może więcej lat temu, rozszalałe żywioły górskie poobalały odwieczne pnie drzewne, a wody wiosenne wyżłobiły w tem kamiennem cmentarzysku głębokie, miejscami 3 metr. koryto. I niszczycielska praca wód szłaby dalej, gdyby przeciw niej nie były stanęły nowe siły przyrody. Nalot nasion okolicznych drzew, wyrostki korzeniowe iwy i czarnej topoli, tu i ówdzie przez sojkę uroniony żołądź, i brzegi zwolna się upewniły, a woda dała za wygranę. Dwa czy może trzy pokolenia przetrwały swój okres żywota, przypisany im przez człowieka, poczem oddały mu na usługi swe ciała za cenę prawa do życia potomstwa. I dziś rozpadlinę pokrywa znów nieprzebyta gęstwa.

Blisko samego dna rozpadliny, gdzie dojście w najlepszym wypadku — grozi złamaniem nogi, wystaje z brzegu ogromny głaz, opleciony warkoczem mchów, żyjących w jego zmarszczkach i szczerbach. Gdybyś tam mógł zapuścić wzrok, miły czytelniku, ujrzałbyś pod wiszącym głazem pięknie i czysto umiecione, suche miejsce. To ujście starej nory borsuczej. Dziś zamieszkuje ją matka-liszka, znana w całej okolicy ze swej chytrości i wyjątkowo pięknego, prawie czarnego krzyża, ciągnącego się przez cały grzbiet i przednie łopatki. Dzięki temu jest przedmiotem podziwu i, co gorsze, pożądliwości myśliwych.

W końcu stycznia obchodziła gody weselne. Zalotników miała wielu, a jeden z nich pochodził podobno aż ze Słowacji. Trzyletni ten, pięknie zbudowany rycerz, pozyskał jej wzajemność. I nie dziw; był odważny, dworny i rycerski. Kiedy krasawica w pogodną księżycową noc sznurowała przez pole, wiodąc za sobą dwóch wielbicieli, nie kto inny, jeno on zwiódł i na bok odprowadził natrętnego foksa pana gajowego, tak, że liszka, choć boleśnie postrzelona, zdołała się ocalić.

Powrócił na jej trop dopiero nad ranem, zmordowany i głodny. Psa prowadził za sobą dziesięć kilometrów dla pewności. Takiemu foksowi nigdy dowierzać nie można. A nuż go poniecha, wróci na świeży, do tego jeszcze czerwony trop liszki i nieszczęście gotowe...

Tego poświęcenia liszka nie pozostawiła bez nagrody. Z myślą o swym rycerzu wychowywać będzie jego dzieci-pogrobki — biedak bowiem, w ciągu niespełna tygodnia po owem nocnem zdarzeniu, poległ ze zdradzieckiej ręki myśliwego.

Dwa tygodnie temu opatrzyła sobie starą norę borsuczą, doprowadziła ją do porządku i oczekuje swej godziny bez strachu, raczej z radością.

Wicher hulał w konarach i deszcz wiosenny siekł bezlitośnie młode liście drzew, gdy w zacisznej norze ozwało się słabiutkie kwilenie pięciorga rozkosznych, ślepych lisiątek. Cztery z nich podobne były do siebie, jak krople wody, piąte — budową udało się w ojca, umaszczeniem zaś w matkę. Był to synek — czarny jak kominiarz. Prawie nigdzie śladu lisiej czerwieni. Cały korzuszek srebrzysto-czarny, jeno kwiatek na końcu kitki bielił się jak śnieg.

Przez pierwsze trzy dni matka krokiem nie ruszyła się od dzieci; zwinięta w kłębek, gładziła językiem delikatne korzuszki, co chwila podając małym żarłokom nabraną pierś. Żołądek jednak jest despotą; czwartego dnia zmusił matkę do opuszczenia nory.

Przed wyjściem długo, starannie badała wiatr. Wiał od szczytów, niosąc z sobą przeróżne wonie. Czuć było wyraźnie i zapach kwiatów z górskich łąk i dymek tlejącego na kraju pastwiska, starego pnia. Z głębokiem, basowem brzęczeniem przeleciał koło niej jelonek. Z przyzwyczajenia skoczyła za nim i zgrabnem uderzeniem łapy rzuciła owad na ziemię. Potem końcami zębów rozerwała go na kawałki, machnęła parę razy kitą, jeszcze zbadała wiatr i zaszyła się w gęstwę leśną.

Wróciła dopiero o świcie, syta i zadowolona z siebie. Na brzegu lasu, pod samą wsią prawie, przyłapała wiejskiego kota na łowach myszy, a może młodych marczaków. Łotrzyk chytrze wykręcał się dotąd gajowemu, aż trafił na chytrzejszego od siebie. Kąsek był smaczny i tłusty. Liszka pożywiła się nieźle, obie pieczonki i część czomberka przezornie zakopując na potem.

Na drugi dzień błogosławiła wczorajszą wstrzemięźliwość. Cała noc poszukiwań przyniosła jej w ofierze jedną jedyną mysz i stare, na pół wyschłe zwłoki jakiegoś ptaszka.

A tymczasem głód wzmagał się z każdym dniem. Lisiątka rosły i potrzebowały coraz więcej pokarmu. Już otworzyły blado-modre oczęta, ulizany korzuszek nabierał zwolna puszystości, kitki bujnie obrastały. Nie spały już bez przerwy jak dawniej, a ledwie otworzyły oczka, szukały chciwie matczynej piersi.

Najżwawszem było jednak czarne cyganiątko. Bez namysłu usuwał z drogi braci i siostry, gdy szło o pierś matki. Daleko jeszcze było do pierwszych ząbków, kiedy już kurczył wargi i warczał groźnie, póki nie ustąpiono z drogi. Był skończonym egoistą — na swoje szczęście. Natura nie zna sentymentów, zostawia je ludziom, a sama sprzyja tylko mocnym samolubom.

Mijały tygodnie — lisięta rosły jak na drożdżach, matka zaś coraz więcej miała kłopotu z ich wyżywieniem. Znosiła im to mysz, to wypadłą z gniazda młodą wronę, to małego marczaka — zależnie od szczęścia. Nieraz zadowolić się musiały żabą, lub dżdżownicą, a nawet jaszczurką. Rewir był ubogi w zwierzynę, a ta, jaką się spotykało, była ponad lisie siły. Biedna liszka błądziła teraz całemi dniami po lesie, przeszukiwała i oziminy i bujną kukurydzę, zaglądała nawet do rzeczki, gdzie najłatwiej jeszcze ułowić można była raka. Sama sobie odmawiała wszystkiego, toteż w ciągłej pracy o głodzie, wynędzniała i schudła, jak szkielet. Z głodowej rozpaczy stała się śmiałą do zuchwalstwa. Podkradała się pod same ogrodzenia wiejskich chałup, zaglądała nawet na podwórka, jeśli tylko pies spał, albo wymknął się cichaczem na zaloty.

Całe godziny potrafiła przesiedzieć pod gajówką, zwłaszcza rankiem, kiedy wypuszczano drób na podwórko. Gospodyni, trochę wprawdzie niedbała, po jakimś tygodniu dopiero zauważyła brak najnieśniejszej gołoszyjki. Przy tej sposobności nie doliczyła się jeszcze paru kur. Nie dość na tem; stara gęś wodziła tylko sześć gęsiąt, a indyczka ledwie dziewięć indycząt. Pierwsze podejrzenie, jak zwykle, padło na sąsiadkę; cóż bowiem łatwiejszego, jak zamknąć w kurniku przypadkowego gościa na swojem podwórku? Było stąd swarów co niemiara, zwłaszcza, że gajowy stanowczo odmówił mieszania się w babskie sprawy.

Aż wreszcie prawda, jak oliwa, wyszła na wierzch. Oto na brzegu lasu znaleziono parę piórek białej kokoszki, a kokoszki ani śladu. A więc nie sąsiadka — rzecz prosta. I gospodynia, przepraszając ją za posądzenie, dowiedziała się wszystkiego. „No — moja pani kochana — nic nie mówiłam, bom myślała, że pani wie, kto jej kurki kradnie. Mój stary, to nawet kiedyś widział, jak się jakieś wynędzniałe lisisko skradało pod płotem, alem nic nie mówiła, przecież pani i tak wiedziała, jak to tam było z temi kurami..."

Za to gajowy miał istny sądny dzień, Gospodyni otworzyła wszystkie stawidła. Darmozjad, niedołęga! Licho wie, poco tę strzelbę nosi! Woli cały dzień uganiać się za babami po lesie i spędzać biedactwa z jagód, albo chróstu, ale poczekać na lisa, to za duża fatyga dla piecucha...! Gajowy słuchał, słuchał, aż zaklął siarczyście, trzasnął drzwiami i dopiero późną nocą wrócił... z gospody.

Tymczasem naszej liszce, oszalałej z głodu, z każdym dniem przybywało odwagi w złodziejskich wyprawach.

Złodziejskie wyprawy? Kradzież? Hm! W naszym, ludzkim języku — może... Dla liszki była to nie kradzież, lecz zdobycz, łaską losu zesłana dla głodnych dzieci. Pomyślmy tylko, jak tłuc się musiało to trwożliwe, bojaźliwe serce, w biały dzień, pod płotem domostwa? Bo

i kurki były już ostrożniejsze, nie zapuszczały się w las, krążyły bliżej podwórka.

Zmieniła też system łowów. Okrążając szerokiem łukiem wieś, zbadała naprzód, gdzie się pasą gęsięta bez dozoru, lub gdzie zakrytemi miejscami podczołgać się można pod opłotki. W krótkim czasie narobiła sobie wrogów co niemiara. Ten czekał ze strzelbą w stogu siana, ów za parkanem sadu, syn pana wójta odsiadywał godzinki za krzakiem tarniny, sam wreszcie gajowy ślubował sobie skórą biedaczki zetrzeć plamę ze swego zielonego munduru. (C. d. n.)



M. H.

Polowanie na tapira

W miejscu, gdzie rzeka Maranion łączy się z rzeką Santiago i tworzą one tak zwane Pongo de Manseriche czyli katarakty Górnej Amazonki, znajdował się mały obóz. Przed prowizoryczną chatą stało 2 ludzi na posterunku, w czem pomagało im 6 psów wałęsających się koło domu. Wewnątrz domu kręcili się ludzie, jedni czyścili broń, drudzy przygotowywali śniadanie. Koło ognia trzech Indjan szczepu Aguarunów, pół nagich, grzało się, gdyż dzień był chłodny a zimny wiatr wiejący z Kordyljerów dawał się we znaki.

Cała ta grupa osób składała się z 13 ludzi, 2 Europejczyków, mężczyzny i kobiety, 8 peonów[1]) (metysów) i 3 Indjan tubylców. Po śniadaniu mąż mój zarządził: „Kucharz i 3 ludzi, wymieniając ich po nazwiskach, zostanie w obozie, reszta pójdzie na polowanie". Na to hasło Indjanie chwycili za swoje pucuny[2]) i kołczany z zatrutemi strzałami i poszli wylewać wodę z łódki. Peoni leniwie ubierali się w pasy z amunicją i od niechcenia oglądali swe karabiny, czy są dobrze wyczyszczone.

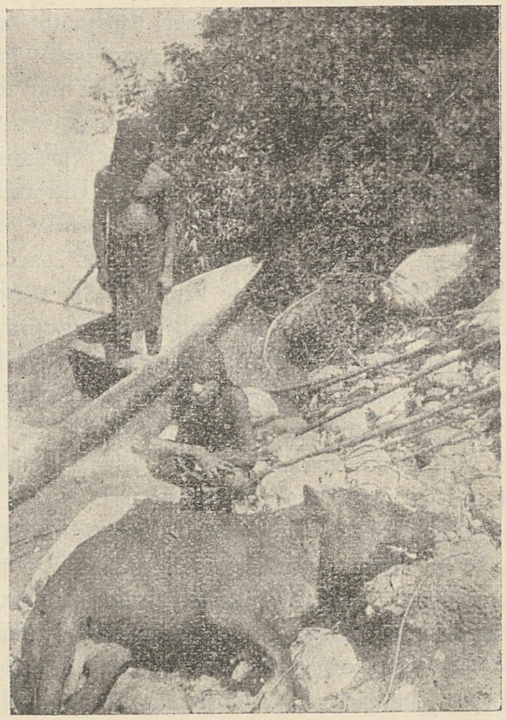
Po chwili w małej i wąskiej łodzi znalazło się 3 Indjan, 2 białych i 4 metysów. Łódź puszczona w ruch przy pomocy 7 wioseł szybko przebyła rwącą Amazonkę i wpłynęła w małą rzeczułkę bezimienną, nad brzegiem której dawniej stało miasto Borja, w 1904 roku wyrżnięte przez Indjan. Teraz rozrzucone nad brzegiem kawałki kamieni i cementu, resztki dawnego klasztoru, mówiły, że kiedyś tu było życie i cywilizacja.

Po pół godzinie drogi w górę rzeczki, woda była tak płytka, że nie sposób było posuwać się dalej. Wysiedliśmy na brzeg, łódź przymocowano sznurem do drzewa a mąż mój uszykował ludzi do polowania i do obrony na wypadek zetknięcia się z nieznajomą bandą Aguarunów lub Jivaros.

Szliśmy korytem potoku w następującym szyku: na przedzie psy, następnie 3 Indjanie, 5 metrów za nimi mąż z dubeltówką, 5 metrów za mężem ja z dubeltówką, następnie w tem samem ugrupowaniu peoni z karabinami w ręku. Ze względu na kamienisty teren, łatwość rekoszetu, do zwierzyny strzelać mieli tylko Indjanie, mąż i ja, peonom strzelać zabroniono.

Po przejściu jakich 2 km, gdyśmy się znajdowali w wąwozie, którego brzegi były kilkanaście metrów wysokie, a strumyk rozlewał się w tem miejscu, tworząc mały staw, tak że przejść nie było możności, mąż mój zadecydował pójść w las prostopadle do strumyka.

Indjanie jak małpy razem z psami wyskoczyli na brzeg, my to samo z trudem wykonaliśmy, jednak branie tej przeszkody zwiększyło odstęp pomiędzy ludźmi do 20 metrów. Gdyśmy przeszli jakieś 150 metrów w głąb lasu, psy zaczęły nagle ujadać i wytropiony tapir w galopie przebiegł obok nas w kierunku rzeki. Indjanie, którzy byli najbliżej niego, nie mieli czasu puścić w ruch swoich zatrutych strzał, jedynie krzyknęli „sacza waka, sacza waka" (tapir). Wprawdzie tapir przegalopował obok nas w odległości zaledwie 20 metrów, to jednak gąszcz lasu i nierówny teren nie pozwolił nam strzelać. Lecz w następnym momencie w rejonie rzeki padł strzał karabinowy i wszyscy zaczęliśmy wracać nad brzeg. Nad brzegiem rzeki stały psy i ujadały zawzięcie w kierunku wody. Stojący obok peon opowiedział mężowi, że kiedy wdrapywał się na brzeg wąwozu, tapir w galopie przebiegł obok niego, skoczył do wody, gdzie zaczął nurkować, by się uchronić przed pościgiem psów; jest to stary zwyczaj, jakim się posługują tapiry, aby się uchronić od swoich nieprzyjaciół. W następnym momencie, gdy tapir wystawił łeb z wody, aby nabrać powietrza, peon strzelił celując w głowę z odległości kilkunastu metrów. Strzał był dość celny, trafił w szyję, kula dum-dum zrobiła swoje. Tapir dał nurka do wody i więcej nie wyszedł na wierzch. Mąż mój skarcił peona za danie strzału wbrew rozkazowi i mam



Indjanie Hypiki i Sakacza nad upolowanym tapirem.

———————

[1]) peon = parobek.

[2]) pukuna = rura do wydmuchiwania zatrutych strzał.

wrażenie, że gdyby peon nie spieszył się ze strzelaniem, tapir byłby i tak z wody nie wyszedł, bojąc się psów, a ja miałabym łatwy i ładny strzał do zwierzyny. Metysi i Indjanie tępym wzrokiem patrzyli na wodę i nie wyka-

sztowania, na którem ułożono mięso i wędzono je przez 24 godzin. W dniu tym mięsa nam nie brakowało, psy i pe-oni urządzali koncert. Poszczególny peon potrafił 2 do 3 kila mięsa zjeść na jedno posiedzenie. Próbowaliśmy i my



Polowanie na tapira: z lewej strony Pani H., następnie kapitan H. i peoni na kataraktach Amazonki.

zywali żadnej inicjatywy, psy głupkowato dalej ujadały na wodę, wykazując jedynie zainteresowanie się tapirem. Mąż mój wyznaczył 2 Indjan i 2 metysów do nurkowa-nia i szukania cielska zwierza, trzeci Indjanin kijem od-pędził psy w las, aby pełniły służbę wywiadowczą, a my w czwórkę zajęliśmy dogodne stanowiska nad brzegiem strumyka, aby móc chronić bezbronnych pływaków, jak również i siebie w razie gdyby strzał i ujadanie psów ściągnęło nam nieproszonych gości. Jeden Indjanin i dwaj biali szybko się rozebrali i wskoczyli do wody, drugi In-djanin imieniem Hypiki, odpowiedział, że „sacza waka" jest djabłem i on go nie będzie szukał. Mąż mój powtó-rzył rozkaz i położył rękę na kolbie rewolweru, to po-skutkowało. Mimo, że na wodzie widać było ślady farby, nie można było znaleźć tapira, dopiero po jakiejś pół go-dzinie, pod korzeniami drzewa w głębokości około 2 me-trów pod wodą znaleziono zbiega, który uciekając od śmierci, tam się wpakował resztkami sił.

Wyciągniętą zdobycz trzeba było teraz odtransportować do łodzi, która stała o jakie 2 km poniżej. Do pracy tej zostali wyznaczeni indjanie, którzy uchwyciwszy tapira za przednie nogi, wlekli go po płytkiej wodzie aż do łódki, my zaś w dawnem ugrupowaniu szliśmy brzegiem stru-myka. Po przyjściu do łodzi ludzie z trudem włożyli ta-pira do łódki i pojechaliśmy do obozu. Po przybyciu do obozu 8 ludzi z trudem wywlokło tapira na brzeg, gdzie zrobiłam zdjęcie z dwoma Indjanami, którzy go szukali w wodzie, a mianowicie z Indjaninem Hypiki i Sakacza. Kucharz wraz z 2 ludźmi został wyznaczony do spre-parowania mięsa i zasuszenia. Do tej pracy peoni wzięli się ochoczo, poćwiartowali tapira, następnie cięli na małe kawałki mięso, które solono i skrapiano sokiem z cytryn, aby było kruche i smaczniejsze. Potem zrobiono rodzaj ru-

wziąć udział w tym koncercie, usmażyłam kawałek mięsa w prymitywny sposób, ale ani ja, ani mąż nie mogliśmy tego wziąć do ust, jakaś niemiła woń zalatywała od tej potrawy, na którą peoni wcale nie reagowali.

Tak jeden strzał, wprawdzie niezdyscyplinowany dał nam paręset kilogramów mięsa i zaopatrzył kuchnię na-szego obozu na kilka dni.

PROF. EDWARD DUBANOWICZ

Awantura z lisem

Śnieg przyszedł tego roku późno. Potem silne opady, wichry i zawieje, nagłe zmiany aury, zima nie najlepsza dla łowów. Odstrzeliłem mimo to w styczniu jednego odyńca i trzy warchlaki, później przy udziale paru łaska-wych na nas i na knieję gości padło jeszcze przy nagonce sześć średnich dzików — i już pora ochrony dziczej, ko-niec lutego.

Nagle z samym początkiem marca nastały silne przy-mrozki, pora jasna i bez wichrów. Tropów lisich przez całą zimę widać było dosyć, postanowiłem tedy spraw-com ich, ile czas pozwoli, dać się jeszcze we znaki. Jakoż dwa futerka lisie napiął już kucharz na widelki, gdy przy trzecim wydarzyła mi się historja tak niezwykła, że posta-nowiłem nią podzielić się z „Łowcem", w odwzajemnie-niu za niejedną chwilę zajmującej literatury.

Może posłuży ona kiedyś za jedną z iskierek, rozświe-tlających mroki instynktów dzikiego zwierza.

We środę, 13-go marca mieli przyjechać do domu na noc panowie Ch. i P. po trudach kommasacji w przyległej wiosce. Przed ich przybyciem wybrałem się wieczorem do

lasu i kwadrans przed siódmą strzeliłem z ambony na sztych skradającego się ku mnie ładnego liska. Szedł, jak zwykle ostrożnie i niepewnie. Widocznie instynkt go ostrzegł, bo na jakichś czterdzieści kroków przystanął i zawahał się, co robić dalej, gdy w oczy lunąłem mu błyskawicznie śrutem z bardzo koncentrycznie bijącego bore'a. Strzał wstrząsnął potężnie całym przodem jego korpusu. Padł, ale zanim mogłem poprawić nowym ładunkiem, porwał się błyskawicznie i z podniesioną kitą, ryjąc głową w śniegu, zawrócił w kierunku, skąd przyszedł i zniknął mi z oczu w cieniu krzaków. Byłem strzału pewien, trop broczył tak obficie farbą i to także wewnętrzną, więc natychmiast ruszyłem za nim, pewny, że zobaczę go bardzo rychło bez życia. Ale uszedłem spory kawałek, zanim zobaczyłem go zrywającego się w gąszczu. Strzeliłem raz jeszcze, ale na sporą odległość i z małym rezultatem. Śrut, jak stwierdziłem za chwilę leżał dobrze na tropie, ale lis porwał się i uniósł chyżo. Teraz on z kolei postanowił mi dokuczyć. Trop, zawsze z silną farbą wiódł przez najgęstsze i najbardziej nierówne ostępy, przerywany gęsto miejscami, na których lis tarzał się i obmywał farbę. Zrobiło mi się gorąco. Przypomniałem sobie oba poprzednie razy, w których ścigałem postrzelonego lisa. Ileż to wykrotów musiałem wówczas przebyć zygzakiem wśród najgęstszej świerczyny, przez ile debr przedrzeć się, ażeby w końcu bez tchu w piersiach stanąć przed szerokim szlakiem rozmarzłej drogi, a w drugim wypadku przed beznadziejnym, mrocznym otworem jamy, w którą zdołał ujść postrzałek...

Zrobiłem już z ćwierć kilometra, gdy szlak, ze słabnącą farbą doprowadził mię do wązkiego przepustu z grubych bierwion bukowych, przyłożonych z góry parumetrową warstwą chrustu i ziemi. Było to miejsce skrzyżowania debry z drogą leśną. Bardzo się zasępiłem tem wydarzeniem, ale zszedłem przez drogę w dół ku drugiemu otworowi przepustu. Odrazu rzuciła mi się w oczy ciemna smuga farby... Zatem lis przeszorował przez przepust i poszedł dalej... Pewnie czuje się jeszcze dosyć na siłach... Więcej dla konsekwencji, niż z wiarą w dobry skutek, poszedłem tropem dalej. Lis wytarzał się w debrze doskonale i zostawił ledwie kropelki farby. W dodatku wspiął się z dna debry i zaczął trawersować środkiem bocznego skłonu, bardzo spadzistego i porosłego bujnym podrostem bukowym. Zasapany wydostałem się wreszcie za śladem na wysoki i gęsty brzeg i wśród najgęstszych kęp drągowiny grabowo-bukowej przedzierałem się dalej, z coraz słabnącym zapałem, mokry od potu, coraz niepewniejszym tropem. Powierzchnia śniegu była tu zupełnie ścięta mrozem i łapy przeciwnika zostawiały zaledwie dostrzegalny ślad na niej. Kropelki farby coraz słabsze i rzadsze. Wreszcie doszedłem do grubego pniaka po ściętym buku, gdzie nawet z pomocą elektrycznej latarki, która mi dotąd wybornie służyła, trudno było dać radę, trop urywał się zupełnie... Za pniakiem była drożyna leśna udeptana. Może lis zrobił pętlę i przemknął gdzieś bokiem? Może z pniaku zeskoczył na drożynę i poszedł nią, na prawo, może na lewo?

Pod wpływem mroźnego wiatru zaksztusiłem się od silnego kaszlu i oprzytomniałem z myśliwskiego zapału.

Chyba nie warto ryzykować zdrowia dla „głupiego" lisa. Jeszcze ważniejsze, że w domu mogą już czekać goście... A to i z domu nie podeślą, bo wyjątkowo, nie powiedziałem tym razem, w którą stronę idę... Do domu zaś spory kawał...

Zapamiętałem dobrze miejsce i skierowałem się ku domowi, ale niedałem za wygraną.

Na drugi dzień z Azą i Zorzą, w towarzystwie najstarszej córeczki i gajowego Antonkowa wybrałem się na porzucony trop. Pieski, jamnik i seter, tresowany tylko na ptaki, nie zapowiadały wielkiej pomocy. Zato trzy pary oczu i jasność dnia powinny zwalczyć trudności.

Lis od wczorajszego pniaka przemknął bokiem. Wyszedł z krzaków i szedł słabo porośniętemi łączkami. Trop jego lekko zaznaczał się na zamarzniętej powierzchni śniegu. Farby bardzo mało. Znowu wchodzi w wysoki podrost bukowy. „Jest!" — woła gajowy. Rzeczywiście leży w środku kępy. Od miejsca, dokąd doszedłem za nim wczoraj poszedł już nie dalej jak 150 do 200 kroków. Od miejsca strzału dobre pół kilometra.

Ale co on wyprawiał przed śmiercią, ten lis nieszczęsny? Poza wygniecionem i słabo zarumienionem farbą miejscem, gdzie się wczoraj zwinął i położył, dalej o kilka kroków w krzakach straszliwie poszarpany i obfitą farbą zbroczony śnieg na dość obszernym płacie...

Antonków wyniósł z krzaków nieboszczyka. Wygląda fatalnie. Futro mokre i okropnie zwichrzone od tarzania się i zmywania w śniegu. Łapa zmiażdżona, cały łeb zsiekany śrótem, prawe oko wybite. „Ależ Antonkow! — wołam gajowego — co się stało z kitą? — Toż lis nie ma ogona!" „A tak — odpowiada spokojnie gajowy — to lis bez kity".

„Ale — wołam — kiedy strzelałem do niego wczoraj, lis miał kitę".

„Pewnie wyszarpał go sobie, przedzierając się przez jamę popod drogę".

Oglądam dokładnie lisa. Nasada ogona wyrwana z grzbietu, tępo, brutalnie, z kawałkiem mięsa. Lis mógł sobie wyrwać zaczepiony ogon, ale ażeby go z nasadą mógł wyszarpnąć a raczej wygryść w tak straszliwy sposób? Musiałby zresztą do tego miejsca dojść w takim razie z jeszcze obfitszą, lejącą się chyba farbą.

„Patrzcie-no, wołam do gajowego — czy tam przecie w krzakach niema gdzieś kity?"

Nie, — mówi po chwili gajowy — nigdzie niema, ale jest trop drugiego, zdrowego lisa, który tu musiał być pewnie wczoraj".

Idę z córeczką na drugi brzeg krzaków ku gajowemu. Pokazuje ledwie dostrzegalny trop lisi na zlodowaciałej po nocy powierzchni śniegu.

„Musimy iść za nim — decyduję. Czy on naszemu lisowi nie ukradł kity".

Gajowy uśmiecha się, powtarza, że lis zostawił pewnie kitę pod drogą, ale idziemy we trójkę. Psy więcej przeszkadzają niż pomagają. Trop ledwie dostrzegalny, gubi się, to nawiązuje. Uszliśmy jeszcze ze sto kroków. Antonków idzie na przedzie.

„Jest — woła znowu Antonkow — jest kita!"

Rzeczywiście, krwawiącym końcem zakopany w śnieg, sterczy ze śniegu koniec kity lisiej.

Od tego miejsca równe, regularne perełki lisa, spokojnie odchodzącego od miejsca, gdzie ukrył skarb, po

okrutnym mordzie dokonanym na ciężko zranionej i niezdolnej już do obrony lisiczce.

Poco on urwał kitę, dlaczego ją ukradł, dlaczego zakopał a nie niósł dalej. Dlaczego właśnie kitę.

Wróciliśmy z córeczką do sani z dziwacznym łupem w postaci kity.

Podjechaliśmy nieco niżej i za chwilę zdumiony Ilia Szach, nasz furman, zobaczył w ręku gajowego, wynurzającego się z krzaków resztę naszych poszukiwań, lisa bez kity.

Bardziej dramatyczną i dziką musiała być scena rozprawy lisiczki z lisem, aniżeli z człowiekiem.

I pewnie motywem jej nie był głód, bo mięso nienaruszone. Pewnie i nie litość nad cierpieniem. Łatwiej było skrócić lisiczce męki chwytem za szyję niż za nasadę kity.

Ponury cień padł w moich oczach na obyczaje złośliwego mordercy — czy sadysty — lisa.



†

Roman z Rupniewa Ujejski

ziemianin, syn wielkiego Kornela, zmarł 29 sierpnia b. r. w swoim majątku Pawłowie mając lat 79.

Był On ostatnim może żyjącym członkiem M. T. Ł. od pierwszego roku jego istnienia. Zamiłowany myśliwy i hodowca zwierzyny interesował się żywo, choć złożony długoletnią chorobą, do ostatnich niemal dni swoich sprawami łowieckiemi. W r. 1890, po stracie w jednym i tym samym dniu żony i syna, wyjechał do Australji, skąd po rocznym blisko pobycie przywiózł wiele pięknych, spreparowanych okazów tamtejszej fauny, a wspomnienia ze swej podróży wydał drukiem.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego Cieniom!

Ś. p.

Władysławowi Garapichowi

Wspomnienie pośmiertne.

Żal wielki gnębi duszę po stracie starego przyjaciela i podwójnego kolegi — żołnierza i myśliwego, tem bardziej, że przyszła ona tak niespodziewanie.

Podobało się Bogu powołać Go do siebie, a dla tych w smutku pogrążonych, co Go kochali, On już tylko wspomnieniem.

Dla uczczenia Jego pamięci — na pamiątkę współpracy z Nim na polu łowieckiem, na pamiątkę szczerej przyjaźni, jaka nas przez dziesiątki lat łączyła, rzucam na papier kilka słów o Nim wspomnienia i ostatniego z Nim pożegnania.

Wnuk wielkiego naszego Kazimierza Wodzickiego, musiał On od zarania życia mieć w duszy umiłowanie przyrody i łowiectwa. Mając talent pióra i pędzla, umiał On swe w ramach borów i pól doznane wrażenia utrwalać pisanem słowem, lub w rysunkach i akwarelach. Jego artykuły w „Łowcu" odznaczały się swoistym stylem, dowcipem i pogodą, bo pogodną miał On duszę, jak i serce miał złote dla przyjaciół i towarzyszy.

Kochając zwierzęta, umiał czujnie i wytrwale obserwować ich sposoby życia, charaktery i inteligencję i w dziedzinie tej czynił bardzo interesujące spostrzeżenia.

Myśliwy o wysokiej kulturze i etyce, traktował łowiectwo jako sztukę piękną, jako kult św. Hubertowi oddawany i był łowcem w najszlachetniejszej formie.

Świetny dawniej kawalerzysta, doskonały jeździec, był ozdobą pułku, w którym służył i serdeczną cieszył się przyjaźnią kolegów.

Jako rolnik, kochał gorąco ziemię, na której danem Mu było pracować. Na Jego krzyżu grobowym możnaby wyryć dewizę marszałka Bougeaud „par l'épée et par la charrue", gdyż przy szabli i pługu szedł przez życie.

Odszedł w łowiska św. Huberta kochany nasz ten Towarzysz i człowiek o gołębiej duszy, pozostawiając po sobie pamięć, która w sercach naszych długo żywym gorzeć będzie płomieniem.

Śpij druhu kochany! Niech kresowa ziemia polska, tak Tobie droga, lekką Ci będzie!

Idzie już jesień! Pamiętasz te liście złote, w które ustrajały się knieje? Jak nieraz brodziliśmy żwawo po sutym dywanie, zastępując mioty? Ileż wspomnień wiąże nas z temi złotemi drzew łzami, ileż razy biły nam serca, gdy przed nami szeleścił liść suchy, zdradzając chód zwierza!

Idzie już jesień! Niedługo pożółkną cmentarne drzewa nad Twą mogiłą i obsypią ją rojem złotych liści, a Ty snuć będziesz, śpiąc pod niemi, nić niezapomnianych wspomnień z myśliwskich jesieni...

Żegnaj druhu kochany! Od nas na skrzydłach żalu lecą śladem ulatującej w błękity Twej duszy usnute z Tobą szczęśliwych dni naszych wspomnienia.

Albert Mniszek

KALENDARZYK ŁOWIECKI

CZAS OCHRONNY

na zwierzynę łowną w miesiącach październiku, listopadzie i grudniu w województwach Małopolskich.

Jelenie: od 1 listopada.
Niedźwiedzie przez cały czas.
Rysie do 15 grudnia.
Kuny leśne do 1 listopada.
Borsuki od 1 grudnia.
Wiewiórki od 1 grudnia.
Zające do 15 października.
Głuszcze przez cały czas.
Bażanty do 15 października.
Kuropatwy od 1 grudnia.
Czarne bociany przez cały czas.
Dropie, strepety przez cały czas.
Łanie, siuty, kury głuszców, cietrzewi i bażantów przez cały czas.

Korespondencje

Kołomyja, 10 sierpnia 1935.

5 sztuk jeleni (3 jelenie, 1 szesnastak i 2 łanie), które ukazały się w lasach na Pokuciu, a przywędrowały lasami rządowemi, a później prywatnemi w Słobódce leśnej, Korszowie i Czeremchowie, znikły po 2-miesięcznym pobycie bezpowrotnie.

Niedługo trwała nasza radość, a jednak zdawało się, że się już zaaklimatyzują.

Niewielu może leśników a pewnie także i amatorów wie, że Pokucie ma swoje narazie małe „ZOO".

I tak „Salusia" dzika świnia (złośliwi twierdzą, że to na pamiątkę „miłej sąsiadki"), „Lalusia" i „Basia" 2 sarenki i płeć brzydka koziołek „Kubuś", który swego pana wyprasza za furtkę rogami..

To małe „Zoo" znajduje się w parku miejskim pod opieką znanego i cenionego botanika i ogrodnika miejskiego p. Stanisława Stefańskiego. Miło patrzeć i widzieć zabiegi około wyżywienia tego dobranego stadka. Nadszarpany budżet miejski „asygnuje co miesiąc" aż... 50 gr.

Dlatego z nadchodzącą zimą, apeluję do znanych mi litościwych serc okolicznego ziemiaństwa, a to B. Horodyskiego z Piadyk, inż. Skucińskiego i P. Kunzowej z Ceniawy, Kunza z Załucza, dra bar. Michała Moysy-Rosochackiego z Rudnika, J. Lindego z Chorochowej, pułkownika Golińskiego z Chlebiczyna leśnego, Brubacherowej z Zamuliniec, Domańskiego z Rohyni, Pawskiego z Rosochacza i wielu innych, dalszych i bliższych, których proszę o wiązkę paszy, podściółki, kartofli i jakich odpadków furczynę.

Św. Hubert wynagrodzi w dwójnasób z niebios wysokości a za „już" to znaczy „zaraz" trzykrotne „Bóg zapłać" składam.

Przedwyborcze zebrania „bocianie" do sejmu i do senatu „bocianiego" już się z dniem dzisiejszym rozpoczęły i dziwnym smętkiem nastrajają duszę te setki ptaków zebranych na łące na „rozkaz" swego prezydenta i ministra, który wydał „tajny" okólnik niedrukowany i nierozlepiony nigdzie, a jednak z tak dziwnem posłuszeństwem wypełniany.

Stanisław Haleniak

ŁOWIEC POLSKI

Wyniki z Narodowych Zawodów Strzeleckich

W dniach 22, 23 i 24 lipca r. b. odbyły się X Narodowe Zawody o mistrzostwo m. st. Warszawy, Mazowsza i Polski w 1935 r., przyczem, jak zazwyczaj, rozgrywki poprzedzających dni zaliczane były w tych zawodach do ogólnych rezultatów następnych o dalsze mistrzostwo, warunki konkurencji bowiem przewidywały, jak zawsze, strzelanie na mistrzostwo Warszawy do 100 talerzyków, Mazowsza — do 200 tal. i Polski — do 300 talerzyków. Zawody odbywały się na standzie Bractwa Strzelców Kurkowych w Szczęśliwicach. Publiczności zebrało się sporo.

Wyniki strzelania do rzutków o Mistrzostwo Warszawy 1935 r. w dniu 22 lipca 1935 r.

1) Kiszkurno Józef — 96 — I-sze miejsce
2) Rozenwerth Stanisław — 95 — II miejsce
3) Ziegenhirte Wilhelm — 94 — III miejsce
4) Czerski Stanisław — 88 IV miejsce po rozgrywce
5) Rozenwerth Włodzimierz — 88 V miejsce
6) Łyskowski Konstanty — 84 VI miejsce po rozgrywce
7) Ciążyński Józef — 84 — VII miejsce po rozgrywce
8) Kitzman Karol — 84 VIII miejsce
9) Tobola Kazimierz — 83 — IX miejsce
10) Jeziorowski Witold — 82 — X miejsce
11) Baranowski Antoni — 76 — bez miejsca
12) Rozenwerth Henryk — 66 — bez miejsca
13) Sztukowski Stefan — wycofał się z zawodów.

Wyniki strzelania do rzutków o Mistrzostwo Mazowsza 1935 r. w dniu 23 lipca 1935 r.; wynik z dwóch dni strzelania.

	Wynik 1-go dnia	Miejsce	Wynik 2-go dnia	Wynik 2-ch dni	Miejsce
1) Kiszkurno Józef	96	1	96	192	1
2) Rozenwerth Stanisław	95	2	94	189	2
3) Ziegenhirte Wilhelm	94	3	89	183	3
4) Czerski Stanisław	88	4	91	179	4
5) Łyskowski Konstanty	84	6	94	178	5
6) Kitzman Karol	84	8	89	173	6
7) Jeziorowski Witold	82	10	90	172	7
8) Rozenwerth Włodzimierz	88	5	83	171	8
9) Ciążyński Józef	84	7	86	170	9
10) Tobola Kazimierz	83	9	78	161	10
11) Baranowski Antoni	76	bez m.	82	158	bez m.
12) Rozenwerth Henryk	66	„ „	68	134	„ „

13) Sztukowski Stefan — wycofał się z zawodów — strzelał po za konkursem o odznakę Strzelecką Wyborową — wobec przekroczenia wymaganego wyniku, przerwał strzelanie.

Wynik strzelania do rzutków o Mistrzostwo Polski 1935 r. w dniu 24 lipca 1935 r.; wynik z 3-ch dni strzelania.

	Wynik 1-go dnia	Miejsce	Wynik 2-go dnia	Wynik 2-ch dni	Miejsce	Wynik 3-go dnia	Wynik 3-ch dni	Miejsce
1) Kiszkurno Józef	96	1	96	192	1	99	291	1
2) Rozenwerth St.	95	2	94	189	2	95	284	2
3) Łyskowski Konst.	84	6	94	178	5	96	274	3
4) Czerski Stanisław	88	4	91	178	4	93	272	4
5) Ziegenhirte Wilh.	94	3	89	183	3	87	270	5
6) Jeziorowski Wit.	82	10	90	172	7	90	262	6
7) Kitzman Karol	84	8	89	173	6	88	261	7
8) Rozenwerth Włod.	88	5	83	171	8	86	257	8
9) Ciążyński Józef	84	7	86	170	9	83	253	9
10) Tobola Kazimierz	83	9	78	161	10	84	245	10
11) Baranowski Antoni	76	—	82	158	—	77	235	—
12) Rozenwerth H.	66	—	68	134	—	71	205	—

(Dok. nast.)

Kącik kynologiczny

ZAWIADOMIENIE.

Jak podano do wiadomości w „Łowcu", powstał ze zezwoleniem Władz Oddział we Lwowie Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych w Warszawie. Oddział istnieje na podstawie regulaminu dla oddziałów, wydanego w myśl § 5 poz. k. Statut Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych. Regulamin postanawia, że terenem działania Oddziału lwowskiego jest województwo lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie a cel i środki określają odnośne postanowienia statutu. Członkowie Oddziału wnoszą opłaty członkowskie wedle § 9 statutu w wysokości 10 zł. rocznie, z czego 50 proc. pozostaje na wydatki Oddziału a 50 proc. przekazuje się Centrali w Warszawie.

Zarząd składa się z trzech członków, którego funkcje spełniają aż do ukonstytuowania się na Zebraniu członków Oddziału pp.: Albert Mniszek jako prezes Oddziału, Aleksander Ulm jako sekretarz i inż. Tadeusz Sroczyński jako skarbnik.

Zarząd Oddziału funkcjonuje w biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11 i tamże przyjmuje się zgłoszenia i składki członków. Wpisowego niema.

Do korzyści, jakie przynosi przynależność do Oddziału P. Z. H. P. należą: Ułatwienia w wpisach do ksiąg rodowodowych, ułatwienia w wystawach psów rasowych w Warszawie i na prowincjach i pośrednictwo w kupnie, sprzedaży i kopulacji psów rasowych tak w kraju jak i zagranicą.

Jako wydawnictwo P. Z. H. P. wyszedł już tom I. czasopisma „Pies rasowy i jego hodowla w Polsce”, którego pojedyńczy numer kosztuje 3 zł. Numer ten powinien znaleźć się w ręku każdego interesującego się hodowlą psów rasowych w Polsce, gdyż zawiera na 62 stronicach druku, obok artykułów treści ogólnej, dane o stanie hodowli pojedyńczych ras psów w Polsce z fotografiami okazów standartowych oraz w pełnem brzmieniu statut Związku i regulamin Oddziałów.

Wydawnictwo można kupić o ile zapas starczy przez Oddział we Lwowie, ul. Ossolińskich 11, przy M. T. Ł. Tamże można wydanie to przeglądnąć.

ZARZĄD ODDZIAŁU P. Z. H. P.

Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

PROTOKÓŁ

posiedzenia Zarządu Związku z dnia 24 sierpnia 1935 r.

Przewodniczył obradom p. Wiceprezes Maurycy hr. Potocki, obecni byli pp.: inż. Herman Knothe, dyr. Konrad Landsberg, mec. dr. Adam Lardemer, Czesław Lisowski, Józef Skrzypek, inż. Henryk Sosonko, prez. Wacław Szperling, inż. Kazimierz Tołłoczko, Aleksander Ulm i dr. Józef Żenczykowski; sekretarzował — Jerzy Bokiewicz.

Porządek obrad był następujący:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Zarządu Związku z dnia 17 marca r. b.
2. Sprawozdanie Redakcji „Łowca Polskiego”.
3. Sprawozdanie Komisji Propagandowej.
4. Memorjał w sprawie dzierżaw polowania w lasach państwowych.
5. Memorjał w sprawie organizacji Narodowych zawodów strzeleckich, myśliwskich i łuczniczych.
6. Utworzenie Sekcji Strzelań Myśliwskich i Standowych oraz zatwierdzenie jej regulaminu.
7. Zatwierdzenie regulaminu Sekcji Ochrony Niedźwiedzia.
8. Sprawa projektu wprowadzenia obowiązku plombowania zwierzyny bitej, przeznaczonej do handlu.
9. Sprawy Delegatów Powiatowych.
10. Przyjęcie nowych Stowarzyszeń.
11. Rozpatrzenie wniosków o odznaczenia.
12. Sprawy bieżące.
13. Ustalenie terminu następnego posiedzenia Zarządu oraz terminu i porządku dziennego Walnego Zgromadzenia Związku.
14. Wnioski.

Sprawozdanie Komisji Propagandowej Związku zreferował Przewodniczący Komisji, p. Skrzypek. Sprawozdanie na piśmie dołączone zostało do niniejszego protokółu.

Po rozpatrzeniu wniosków, zawartych w tem sprawozdaniu, Zarząd Związku postanowił:

1. wystosować do pp. Wojewodów pismo z prośbą o polecenie, aby poszczególne starostwa nadesłały Związkowi ewidencję osób, które posiadają karty łowieckie; w pismach tych wymienione zostaną te starostwa, od których Związek, za pośrednictwem swych Delegatów Powiatowych, ewidencję taką już otrzymał;

2. wyrazić dezyderat, aby Polskie Towarzystwo Łowieckie, jako Oddział Związku, zajęło się akcją propagandową na terenie powierzonych sobie województw; uproszono p. Kamieńskiego, aby dezyderat ten przedstawił Zarządowi tego Oddziału;

3. po dyskusji, w której wypowiedzieli się pp. Skrzypek, inż. Knothe, Ulm, Kamieński i prez. Szperling, postanowiono wydrukować 500 dodatkowych egzemplarzy „Łowca Polskiego” i rozesłać je referentom łowiectwa wszystkich starostw oraz funkcjonarjuszom administracji lasów państwowych z wezwaniem do zaprenumerowania, przyczem uchwalono specjalnie obniżone normy prenumeraty.

Wnioski 1 i 2 uchwalono jednomyślnie, wniosek 3 przeszedł większością głosów.

Projekt memorjału w sprawie dzierżaw polowania w lasach państwowych opracować miał p. gen. Skrzyński na podstawie materjału, przedyskutowanego przez specjalną Komisję.

Wobec nieobecności referenta, Zarząd Związku przekazał tę sprawę Wydziałowi Wykonawczemu.

Zgodnie z postanowieniem Wydziału Wykonawczego z dnia 19 lipca r. b., p. Lisowski opracował memorjał, wykazujący wady i niedociągnięcia w organizacji Narodowych zawodów strzeleckich, myśliwskich i łuczniczych, zwłaszcza w odniesieniu do strzelań myśliwskich. Nadto pp. Gędziorowski i Lisowski złożyli umotywowane wnioski:

1. o powołanie przy Związku do życia Sekcji Strzelań Myśliwskich i Standowych,

2. o przystąpienie do Międzynarodowego Związku Strzelań Myśliwskich, co uprawni zawodników polskich do udziału w zawodach międzynarodowych.

Na podstawie wniosku Wydziału Wykonawczego z dnia 19 lipca r. b. Zarząd Związku uchwalił utworzenie Sekcji Strzelań Myśliwskich i Standowych.

Jednocześnie Zarząd upoważnił Wydział Wykonawczy do zatwierdzenia na prawach Zarządu Związku — regulaminu tejże Sekcji.

Zarząd Związku postanowił mianować stałym kierownikiem ekipy zawodników polskich, biorących udział w zawodach międzynarodowych, p. Stanisława bar. Rosenwertha.

P. bar. Rosenwerthowi powierzono reprezentację Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich na międzynarodowych zawodach w strzelaniach myśliwskich, upoważniając go jednocześnie do przeprowadzenia zagranicą pertraktacyj w sprawie przystąpienia Związku do Międzynarodowego Związku Strzelań Myśliwskich.

Rozpatrzono następnie projekt regulaminu Sekcji Ochrony Niedźwiedzia, uchwalony na zebraniu organizacyjnem tejże Sekcji w dniu 27 czerwca r. b.

Po wprowadzeniu kilku poprawek, regulamin ten został przez Zarząd Związku zatwierdzony w brzmieniu według załącznika.

W sprawie projektu wprowadzenia obowiązku plombowania zwierzyny bitej, przeznaczonej do handlu, Zarząd Związku postanowił prosić p. dr. Lardemera o opracowanie projektu memorjału w tej sprawie, który rozpatrzony zostanie, po porozumieniu z p. red. Garczyńskim, na następnem posiedzeniu Zarządu.

Na wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych, jako Oddziału Związku, Zarząd mianował p. Edmunda Ciepluchę (Bobrowniki) — Delegatem Związku na powiat Węgrowiec woj. poznańskiego.

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, jako Oddziału Związku, Zarząd mianował p. Ottona bar. Klobusa (Łodygowice) — Delegatem Związku na powiat Biała, woj. krakowskiego.

Zgodnie z wnioskiem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, jako Oddziału Związku, Zarząd skreślił z listy delegatów Związku pp.:

w województwie lwowskiem:
Stanisława hr. Bobrowskiego,
dr. Stanisława Koźmian-Rejchera i
dr. Jana hr. Mycielskiego — z powiatu Krosno;
Alfreda Liptaya — z powiatu Lubaczów;
dr. Kazimierza Flisa — z powiatu Rudki;
Tadeusza Romanowskiego — z powiatu Sokal;

w województwie stanisławowskiem:
Ludwika hr. Reya — z powiatu Rohatyn;
Leopolda Kohlla i
inż. Stanisława Lenartowicza — z powiatu Stryj;

w województwie tarnopolskiem:
Benedykta Brykczyńskiego i
Franciszka bar. Heydla — z powiatu Zaleszczyki.

W łączności ze sprawami, poruszonemi w sprawozdaniu Komisji Propagandowej, Zarząd Związku postanowił, na wniosek p. Ulma, załatwianie kwestyj organizacyjnych na terenie województw: kieleckiego, lubelskiego, łódzkiego, poleskiego i warszawskiego oraz m. st. Warszawy, jak również spraw Delegatów Powiatowych na tym obszarze — przekazywać Polskiemu Towarzystwu Łowieckiemu, jako Oddziałowi Związku.

Sprawy te rozpatrywane będą przez władze centrali na wniosek, lub po zasięgnięciu opinji Polskiego Towarzystwa Łowiec-

kiego, tak, jak dotychczas rozpatrywane były sprawy, dotyczące obszaru działalności innych Oddziałów Związku.

Rozpatrzenie wniosków o nadanie Medalu Zasługi Łowieckiej Zarząd przekazał Wydziałowi Wykonawczemu.

Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych powiadomiło Związek, iż w r. b. tracą moc obowiązującą trzy rozporządzenia, rozszerzające czas ochronny dla niektórych gatunków zwierzyny, oraz zażądało od Związku wypowiedzenia się co do potrzeby wydania podobnych rozporządzeń na przeciąg najbliższych trzech lat.

Zarząd Związku, za podstawę swej opinji przyjmując terminy ochronne, przewidziane w projekcie noweli do prawa łowieckiego, uchwalił przedstawić Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych propozycje następujące:

dla łosi — byków — od 1 października do 31 sierpnia, odstrzał tylko za zezwoleniem specjalnem;

dla dropi i dropi kamionek (strepetów) — od 1 listopada do 31 sierpnia, odstrzał tylko za zezwoleniem specjalnem;

dla dzików — od 1 marca do 30 czerwca;

dla kun leśnych — od 1 marca do 31 października;

dla norek — od 1 lutego do 31 grudnia;

dla sarn kozłów.

a) w województwach: poznańskiem i pomorskiem — od 16 lipca do 15 sierpnia i od 1 października do 31 maja,
b) w województwach: krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem — od 1 lutego do 31 maja,
c) w województwach pozostałych —od 1 lutego do 15 maja;

dla zajęcy szaraków:

a) w województwie poznańskiem — od 1 stycznia do 15 października,
b) w województwach: wileńskiem, nowogródzkiem i poleskiem — od 1 lutego do 31 października,
c) w województwach pozostałych — od 1 lutego do 15 października;

dla bażantów — kogutów — od 1 lutego do 15 października;

dla dzikich kaczorów — od 1 czerwca do 15 lipca;

dla dzikich kaczek i innego ptactwa wodnego i błotnego — od 1 stycznia do 15 lipca.

Nadto postanowiono zaproponować wprowadzenie czasu ochronnego dla rysi — od 1 marca do 31 grudnia.

Jednocześnie Zarząd Związku uchwalił wystąpić do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z wnioskiem o zalecenie pp. Wojewodom, aby na odstrzał selekcyjny łań jeleni i danieli oraz sarn-kóz wydawali zezwolenia, ważne przynajmniej 6 miesięcy, gdyż jest to najkrótszy okres czasu, w którym można przeprowadzić racjonalny odstrzał selekcyjny.

Międzynarodowy Instytut Rolniczy w Rzymie zawiadomił Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych, że projektuje utworzenie specjalnej komisji dla łowiectwa i ochrony zwierząt, pożytecznych dla rolnictwa, i prosił Ministerstwo o podanie nazwisk kilku osób, któreby mogły przyjąć udział w tej komisji.

Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych zwróciło się do Związku z propozycją przedstawienia kandydatów, zaznaczając, że koszty ewentualnych podróży na posiedzenia członkowie komisji tej pokrywać muszą sami.

Zarząd Związku postanowił zapytać p. prez. Juljusza hr. Bielskiego, czy zechciałby przyjąć ten mandat.

Wydział Wykonawczy Związku złożył p. Ministrowi Spraw Wewnętrznych w dniu 9 lipca r. b. odpisy memorjałów Związku w sprawie konieczności obniżenia norm podatku komunalnego od wykonywania prawa polowania, z prośbą o przyśpieszenie decyzji.

W odpowiedzi nadeszło zawiadomienie, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych będzie miało na uwadze postulaty Związku i zajmie się niemi przy najbliższej nowelizacji rozporządzenia wykonawczego do ustawy o tymczasowym uregulowaniu finansów komunalnych.

Termin następnego posiedzenia Zarządu oraz termin i porządek dzienny Walnego Zgromadzenia Związku postanowiono uzgodnić z p. Prezesem gen. Sosnkowskim.

Zgodnie z wnioskiem Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, Zarząd postanowił zamieścić na porządku dziennym Walnego Zgromadzenia sprawę celowości i potrzeby zaopatrywania członków Oddziałów Związku w jednolite legitymacje związkowe.

P. Skrzypek zgłosił rezygnację z mandatu Skarbnika Związku. Ustalenie osoby zastępcy Skarbnika do czasu Walnego Zgromadzenia powierzono pp. prez. Szperlingowi i Skrzypkowi.

W wolnych wnioskach zabrał głos p. Ulm, podkreślając, że inicjatywa wydawania przez Związek druczków z tabelą aktualnych terminów ochronnych na zwierzynę łowną jest bardzo pożyteczna. Druczki te powinny być wydawane i nadal.

Następnie p. Ulm podniósł iż od chwili złożenia Rządowi Rzeczypospolitej projektu nowelizacji prawa łowieckiego życie nasunęło potrzebę wprowadzenia dodatkowych zmian. W tym czasie wyszły w Niemczech i Jugosławji nowe ustawy łowieckie, które stanowić mogą materjał i dla naszej nowelizacji. P. Ulm stawia wniosek o wznowienie czynności Komisji Nowelizacyjnej, celem opracowania uzupełnień do projektu noweli.

P. Ulm poruszył nadto sprawę słownictwa łowieckiego. Komitet Redakcyjny „Łowca Polskiego" utworzył specjalną komisję, która zająć się miała ustaleniem słownictwa łowieckiego, dotychczas jednak niewiadomo, jak prace komisji tej postępują.

Wreszcie p. Ulm zwrócił się do Prezydjum z prośbą, aby na następnem posiedzeniu Zarządu rozpatrzone zostały wnioski Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego o nadane „Złomu".

W sprawie druku tabel czasów ochronnych p. prez. Szperling wyjaśnił, że tabele te wydawane są przez Związek corocznie.

Zgodnie z dalszemi wnioskami p. Ulma: Zarząd postanowił:

1. wznowić czynności Komisji Nowelizacyjnej, polecając Wydziałowi Wykonawczemu zebranie ustaw łowieckich Włoch, Niemiec i Jugosławji, jako materjału dla tej Komisji do opracowania ewentualnych poprawek w projekcie nowelizacji prawa łowieckiego;

2. zażądać od Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego" sprawozdania o biegu prac Komisji do ustalenia słownictwa łowieckiego;

3. wnioski Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na nadanie „Złomu" — rozpatrzyć na następnem posiedzeniu Zarządu, o ile do tego czasu Małopolskie Towarzystwo Łowieckie przedstawi uzupełnienie motywacji.

Zarząd Związku na wniosek p. Lisowskiego, postanowił złożyć na rzecz Komitetu uczczenia zasług Ignacego Paderewskiego — ofiarę w kwocie zł. 50.

P. dr. Żenczykowski postawił wniosek o zaprowadzenie przez Związek statystyki łowieckiej z obszaru całego kraju, na podstawie sprawozdań Delegatów Powiatowych.

Po dyskusji, w której wypowiedzieli się pp. Ulm, inż. Knothe i prez. Szperling, Zarząd Związku powierzył pp. dr. Żenczykowskiemu i Ulmowi opracowanie projeków schematu sprawozdawczego dla Delegatów Powiatowych.

KOMUNIKATY

P. P. MYŚLIWI — UWAGA!

Z dniem 15 października 1935 r. zamykamy przyjmowanie zamówień prenumeratę) na

JEDNODNIÓWKĘ ŁOWIECKĄ

(księgę pamiątkową łowiectwa wschodniego)

która ukaże się w Wilnie w dniu 3 listopada b. r. (w dniu Św. Huberta) i będzie stanowiła luksusowo-albumowe wydawnictwo myśliwskie, uświetnione artykułami najprzedniejszych piór łowieckich w Polsce.

Cena egzemplarza Jednodniówki w razie zamówienia (w powyższym terminie) wyniesie około 2 zł 50 gr.

Cena egzemplarza po zamknięciu przyjmowania zemówień t. j. po 15/X. 1935 r. wyniesie około 4 zł.

Zarząd Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, Wilno, ul. Mickiewicza 11 (Klub Myśliwski).

O MISTRZOSTWO MIASTA LWOWA.

W związku z naszą notatką o Zawodach Strzeleckich, Myśliwskich i Łuczniczych o Mistrzostwo miasta Lwowa podajemy do wiadomości naszych członków, że regulamin i warunki zawodów są w Redakcji „Łowca" do przeglądnięcia.

Sprawy Towarzystwa

PROTOKÓŁ

z posiedzenia Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z dnia 13 września 1935 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni: wiceprezes Albert Mniszek, członkowie: Dr. Franciszek Piechowski, Stanisław Pieńczykowski, Dr. Jerzy Rosienkiewicz, Dr. Edward Skowroński, Inż. Tadeusz Sroczyński i Aleksander Ulm. Zastępcy członków: Stanisław Jaśkiewicz i Inż. Zbigniew Sander.

Nieobecność uprawiedliwili Zygmunt Gronziewicz i Dr. Witold Ziembicki.

Prezes Juljusz hr. Bielski otwierając posiedzenie Wydziału w gorących słowach uczcił pamięć śp. członka Wydziału Władysława Garapicha.

Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia Wydziału z 31/5 br., wiceprezes A. Mniszek odczytał sprawozdanie kasowe. Następnie p. Aleksander Ulm złożył sprawozdanie z posiedzenia Zarządu Pol. Zw. St. Łow. z 24 z. m. a p. Wiceprezes A. Mniszek zreferował projekt statutu Pol. Zw. Stow. Łow. W sprawie projektu statutu zabierali głos Prezes hr. Bielski, Dr. J. Rosienkiewicz i Starosta A. Ulm. W rezultacie dyskusji powołano komisię w składzie pp.: Piechowskiego, Rosienkiewicza, Skowrońskiego i A. Ulma, której polecono szczegółowo przetrutynować projekt statutu i przedłożyć go na najbliższem posiedzeniu Wydziału.

Prezes J. hr. Bielski akceptuje ważność dyskusji nad projektem statutu i uchwałą Komisji powołaną w celu opracowania uwag nad projektem i zapowiedział zwołanie posiedzenia Wydziału w najbliższym czasie.

Przyjęto z 1/VII br. następujących nowych członków: Antoniewicza Marjana, hr. Baworowskiego Michała, Czaporowskiego Tadeusza, inż. Dobieckiego Józefa, dr. Domańskiego Stanisława, inż. Dziułyńskiego Jerzego, br. Gużkowskiego Kajetana, Hrycaja Eustachego, dr. Kawalca Tytusa, Klaga Romualda, Kotziana Stanisława, Krzyształowicza Marjana, Krzyształowicza Kazimierza, Myczkowskiego Jerzego, Niemca Antoniego, Niemczyckiego Leona, Nowaka Tadeusza, Paygerta Włodzimierza, inż. Piwockiego Hipolita, hr. Potockiego Stanisława, inż. Przybysławskiego Władysława, dr. Raczyńskiego Aleksandra, Romanowskiego Aleksandra, Ruppa Fryderyka, Rydza Augustyna, Segala Markusa, Stachowicza Ludwika, Szaszkiewicza Zdzisława, inż. Tinza Adolfa, Wołkowickiego Antoniego, dr. Zawialskiego Franciszka i Żyborskiego Witolda.

Zamianowano delegatami M. T. Ł. z dniem 1/VII br. na powiat Dolina inż. Dziułyńskiego Jerzego, na powiat Kołomyja dr. Kawalca Tytusa, na powiat Kosów inż. Dobieckiego Józefa, na powiat Podhajce Niemczyckiego Leona, na powiat Rawa Ruska Romera Stefana, na powiat Rzeszów Romanowskiego Aleksandra i Żyborskiego Witolda, na powiat Sanok Myczkowskiego Jerzego, hr. Potockiego Stanisława i dr. Domańskiego Stanisława, na powiat Sokal Madeyskiego Jana, Bilińskiego Stanisława i Kosińskiego Tomasza, na powiat Tarnobrzeg inż. Piwockiego Hipolita i na powiat Zbaraż Bolesława Fedorowicza.

Przyjęto do wiadomości podział powiatów Łańcut, Kolbuszowa i Lesko między poszczególnych delegatów, poruszono sprawę szybkiej korespondencji i odwrotne możliwie załatwienie korespondencji delegatów do M. T. Ł., zamiast nagrody postanowiono wyasygnować zł. 30 na strzelanie Mistrzowskie miasta Lwowa oraz zezwolono na odstrzał 6-ciu łań jałowych w nadleśnictwie Lisowiec.

SPROSTOWANIE

W artykule „W obronie życia". wkradły się pomyłki, a to: na str. 129, szpalta I, wiersz szósty zdołu zamiast „mnieć" ma być mieć i na str. 129, szpalta druga w wierszu 15 zgóry zamiast „czynniki" — ma być uczynki.

W opisie zdjęć wysłanych na wystawę w Londynie podałem mylnie imię p. Puchalskiego. Proszę więc zmienić Kazimierz na Włodzimierz. Adam Starzeński.



Do MIEJSKIEGO TOWARZYSTWA MYŚLIWSKIEGO we Lwowie, może być przyjętych do końca września b. r. kilku P. T. Myśliwych w charakterze czynnych członków. — Bliższych informacyj udzieli WP. Marjan Kafka, prezes Towarzystwa we Lwowie, ul. Kopernika 3.

TREŚĆ NUMERU 12:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 30 zł., ⅛ str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Oddział w Krakowie, ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 204-32.